ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Kwietnia **N:er 17.** **Roku 1842.**

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA

OLIVIERA KROMVELA.

Lew przebudzony nie zna miar srogości,
Strasznym jest tygrys kiedy się zacieka,
Lecz najstraszniejszém z wszystkich okropności
Jest niezawodnie szaleństwo człowieka.
Srogo ten błądzi, kto w ślepego dłonie
Boskiego światła pochodnię podaje,
Ta mu nie świeci, tylko zgubą płonie,
Zamienia w popiół i miasta i kraje.

Szyller.

1.

W Dowrze, w zajezdnym domu pod Korsarzem, zebrało się wieczorem wielu majtków z okrętu *»Wąż Grzechotka.«*

Pora była jesienna, silny wiatr dął od północy, o okna obijał się deszcz kroplisty. Do izby przybywało coraz więcéj gości, w koło stały pełne dzbany. Jedni śpiéwali rubaszne piosnki, drudzy rozprawiali o bitwach, w których niedawno odważny Blake odniósł zwycięztwo nad najsławniejszymi bohatérami Holandyi: Rujterem i Trompsem. Rokowano Anglii zupełną przewagę na morzu.

Gdy wątek rozmowy się wysnuł, sternik okrętu, mężczyzna olbrzymiego wzrostu, zapytał obok siedzącego:

»Powiedz mi Tomaszu, co téż dziś przydarzyło się kapitanowi? Wszakto bywało zawsze odwidza swoich ludzi, skoro za szczęśliwą podróż mógł z nimi z pełnego dzbana się napić. Do stu katów! Cały dzień przebywa na piętrze u tych nieznajomych, jakąś tajemnicą wszystko okrywają, jak gdyby tu czart wié o co, chodziło.«

»Co w tém, to wam należytéj odpowiedzi nie dam. Co mnie tam obchodzą jakieś sprawy kapitana z kobiétami! Niech mnie od jakiéjkolwiek znajomości z tą nienawistną płcią niebo na zawsze ochrania! Tylko jedna siedziała mi przez rok na karku, ale od tego czasu wolę zabrać znajomość z trąbą morską, niż z którą z tego dokuczliwego płemienia gąską.«

»Jakiś ty dziwny, twoją jędzę domową porównujesz z londyńskiémi pięknościami! Czyli myślisz, iż nasz kapitan nie umié wybrać?...«

»Mów co chcesz«, roześmiał się majtek, »ja wszystkie kobiéty zarówno nienawidzę, czy tam na ich żaglach powiéwają jedwabne bandery, czy podarte szmaty. Ale patrz tam stoi jakiś nieznajomy, może ci na twoje zapytania odpowié. Ale ja pewny jestem, że ten mrukliwy borsuk lądowy wierutnie ci nakłamie.«

I wskazał na człowieka w wieku podeszłym, który zdawał się być z orszaku nieznajomych kobiét.

Stérnik między innémi własnościami żeglarza posiadał dosyć wielką *dozys* ciekawości; nie zaniedbał zatém pójść za daną mu radą. Napełniwszy na nowo śklankę, podniósł się z powagą, a pokręcając wąsa, przemówił do przybysza:

»Szanowny masztalérzu, czyli jaki tam urząd u swoich dam piastujesz; oto sternik okrętu: *Wąż Grzechotka,* zamyśla wypić za zdrowie twoich pań; bądź téż tak dobry i powiédz nam, co one są za jedne i jak się zowią. Do tego jeszcze wyświadczysz nam usługę, jeźli i ty z pełnego dzbana wypijesz na to zdrowie.«

»Mój majtku«, odpowiedział nieznajomy z zdziwieniem.....

»Sterniku, chciałeś powiedzieć«, przerwał mu mowę, »to jest moja posada, na któréj już przez lat dwanaście po wszystkich morzach kieruje *Grzechotką.«*

»A więc panie stérniku, jeźli ci się tak podoba, uznając zaszczyt, jaki moim paniom wyświadczyć chcecie, powiém wam, iż starsza dama zowie się lady Anna Sidnej, młodsza zaś miss Editha, jéj córka, jedynaczka. Są w podróży do Francyi. Rząd wydał im paszporta, a przewiezienie do Kaletu jest, o ile mi wiadomo, w gotówce zapłacone. Oto wszystko, co was obchodzić może. Spodziéwając się«, dodał z przycinkiem, »iż waszą ciekawość zaspokoiłem, wypróżnię teraz tę śklankę za pomyślność naszéj podróży i za zdrowie osady okrętu *Grzechotka.* A do téj panie stérniku i ciebie liczę.«

Wypił i równie spieszno opuścił zgromadzonych, jak niespodzianie zjawił się był między nimi.

»I cóż powiész na tak krótką odpowiedź«, zapytał stérnika rubaszny Tomasz. Ten zaś jeszcze zdziwiony wpatrywał się w drzwi, którędy wyszedł służący lady Sidnej.

»Niech go kaci wezmą« — odpowiedział w gniewie i znowu przysunął się do dzbana.

W kącie przy kominku grzał się mężczyzna osłonięty płaszczem. Nie uważano go dotąd. Słysząc wymówione imię lady Sidnej, wzdrygnął się i wkrótce za służącym wybiegł na podsień. Tam uchwycił go za ramię. Służący zdziwiony obziéra się, i jakby go zawrót głowy napadł, o kilka kroków się cofa.

»Czy podobna«, zawołał po chwili, »żeby umarli wstawali — lecz może mnie moje oko zwodzi?«

»Cicho«, rzekł nieznajomy, »mojego imienia nie wymawiaj, jeźli wywołanego z kraju nie chcesz oddać w ręce nieprzyjaciół. Lepiéj mi powiédz, gdzie i kiedy mogę mówić z paniami, przede-wszystkiém, co jest przyczyną, iż opuszczacie Angliją? Kto przewodniczy wam w téj tajemniczéj podróży?«

»Sir Arthur, wszystko ci opowiém, ale chodź za mną, bo tu nie jest miejsce do podobnych zwierzeń. W mojéj izbie pomówimy o dawnych czasach, a potém zostawię ci do wyboru, czyli z paniami widzieć się zechcesz. Sir! mnie się zdaje, że w zły czas przybyłeś.«

»Na tortury mnie bierzesz, na Boga cóż ja usłyszę?«

Z wyrazem trwogi postępował nieznajomy za starym sługą po schodach prowadzących do pokojów przybyłych dam.

2.

»Jérzy«, zawołał nieznajomy, gdy stanęli obadwaj w izbie, »mów mi czémprędzéj o tych, którzy mnie tak blizko obchodzą.«

»Sir, miéj tylko chwilę cierpliwości, a wszystko ci opowiém, piérwéj drzwi zamknę. W tych czasach potrzeba dobrze strzédz się przed bystrém okiem szpiega; nic prawie ich sokoléj baczności nie ujdzie.«

I zamknął drzwi, zapalił świécę, a wyniosłszy z półki wino i zimne potrawy, zastawiał gościowi wieczerzę.

Nieznajomy rzucił się w krzesło, bynajmniéj nie zwracając uwagi na przygotowania starego sługi. Boleść ogarnęła jego całą duszę. Ciężką głowę oparł na ręku, a dreszcz, która go czasami przejmowała, była oznaką, iż nie jednę burzę przetrwał. Miał na sobie ubiór ubogi, a żadnego śladu dostrzédz nie można było, któryby świadczył o dawném szczęściu nieznajomego.

Głos Jérzego obudził go z przykrego zadumania.

»Sir Artur, nie pogardzaj tém pożywieniem, które ci zastawić mogę, a tak nie nadaremnie użyjesz czasu, w którym ci nasze dzieje opowiém.«

»Ty Sir z królem Karolem udałeś się do Szkocyi, gdzie waleczny Montroze chciał dźwignąć sprawę nieszczęśliwego monarchy. Mój pan, Henry Sidnej pozostał w Londynie w nadziei, iż parlament powróci do swych obowiązków, a przyjaźne zbliżenie się obu stronnictw uspokoi kłótnię i skończy wojnę domową. Lecz wkrótce zawiedzione zostały nadzieje mojego pana! Prędko nas doszła wieść o bitwie pod Nasebi, a pomiędzy poległymi wymieniano i twoje imię. Nié mam słów, aby opowiedzieć smutek, jaki owładnął wszystkich, którzy cię jak własnego syna kochali. Sir Henry popadł w melancholiję; obawiano się o jego życie. Mis Editha, twoja narzeczona, podzielała jego boleść, a Milady musiała użyć całej mocy duszy, aby być pocieszającym aniołem dla obojga. Nie będę powtarzał wszystkich nieszczęść, które codzień nas dotykały; dość gdy powiém, że

Sir Henry Sidnej w téjże saméj godzinie oddał Bogu ducha, w któréj głowa Harola Stuarta padła na rusztowaniu! — a przecie nie tu jeszcze kres cierpień naszych!

Parlament wydał wyrok, w którym Henryka Sidneja uznano za zbrodniarza stanu, dobra jego zagrabiono, przezco żonę, pogrążoną w smutku, zrobiono żebraczką. Za wiele nieszczęść dotknęło biédną kobiétę! Gwałtowna gorączka rzuciła nią o łoże.

Cierpieniem i nędzą znękana Mis Editha postanowiła błagać zabójcę ich szczęścia o łaskę. Ja towarzyszyłem jéj do królewskiego pałacu. Przez cztéry godzin prosiła o posłuchanie. Właśnie służalce znudzeni jéj prośbami i płaczem, chcieli odpędzić ją jako obłąkaną. W tém przybywa młody mężczyzna, anioł w człowieczéj postaci, i uwalnia ją od obelg siepaczy.

Musiał mieć wielki wpływ w domu protektora, bo na jego skinienie rozpierzchła się cała zgraja służalców. Łagodném słowem uspokoił Mis Edithę i pożegnał ją z zapewnieniem, iż ile możności będzie się starał osłodzić los nieszczęśliwéj rodziny. Dotrzymał słowa. Za jego wstawieniem się oddano nam spadek po matce naszéj pani, chociaż dobra Sir Sidneja przepadły na zawsze.

Flinter, tak się nazwał ten młody mężczyzna, odwidzał nas często, prowadząc sprawę naszę. Po kilka razy upraszał Milady, aby jego odwidziny były tajemnicą; inaczéj bowiem nie mógłby nigdzie wstawić się za nami. Moje panie zgadzały się w tém, iż on jest stronnikiem nowego rządu, i że wielkie posiada wpływy. Szacowali go przecie jako męża czystych obczajów i rzadkiéj dobroci serca. Osobliwie Editha była mu przychylną; wszak on uratował życie jéj matki!

Z czasem coraz częściéj odwidzał nas Flinter, w końcu prawie co dzień spędzał kilka wieczornych godzin w towarzystwie pań moich. Jednego razu ośmielił się prosić Milady o rękę Edithy. Oświadczył, iż obiedwóm zapewni życie spokojne, mówił, iż jego życzeniem jest opuścić Angliję i na gościnnéj francuzkiéj ziemi szukać wynagrodzenia za tyle doznanych cierpień.

Z małego majątku, wziętego w spadku po matce, coraz więcéj ubywało. O twojéj śmierci Sir, nikt ani wątpił. Życzeniem Edithy było pójść do klasztoru. Teraz uczyniła dla matki ofiarę, przychylając się do prośby Flintera. Przed kilkoma dniami opuściliśmy Londyn. Podług umowy, dopiéro tutaj zjechaliśmy się z Flinterem. Najęto okręt, a za piérwszym pomyślnym wiatrem popłyniemy do Haletu. Podobno jutro zamyśla kapitan odbić od lądu.«

Z uwagą przysłuchiwał się nieznajomy rycérz opowiadaniom starego sługi. Przy końcu powstał. Widać było, iż jakieś silne postanowienie zrodziło się w duszy jego.

»Ze wszystkiego, coś mi poczciwy Jérzy powiedział, wnoszę, iż mnie już nie wypada widzieć się z twojém państwem. Wygnaniec nie powinien anielskiéj Edicie utrudniać wypełnienia obowiązku. Opuszczę ten dom bez widzenia się z osobami dla mnie najdroższémi. Wmówię w siebie, iż wszystko co mnie powiedziałeś, snem tylko było. Ty zaś dawny mój przyjacielu, zachowaj milczenie; to uściśnienie ręki niech cię za wszystko wynagrodzi, więcéj nic nié mam.«

Gdy domawiał słów ostatnich, w przedpokoju dało się słyszéć stąpanie. Nieznajomy chciał odéjść.

»Zostań«, poszepnął Jérzy, »narzeczony Edithy tutaj idzie.«

Prędko odciągnął zasuwkę u drzwi. Potém pochwycił za świécę, i biégł naprzeciw. Myślał, iż tém zapobieży spotkaniu się nieznajomego z Flinterem. Ale Sir Flinter stanął prędzéj na progu. Był wzrostu słusznego, postawy dumnéj. Czarny, széroki płaszcz zakrywał jego budowę ciała. Kapelusz o szérokich krysach nacisnął głęboko na oczy, tak, iż oblicza dostrzédz nie było można, tylko jasny, długi włos w gęstych kędziorach spływał na ramiona. W całéj postaci przebijała się jakaś dobroć, powaga i melancholija.

Wydawał Jérzemu rozkazy względem jutrzejszéj podróży, potém zawołał go do pani.

Nieznajomemu zdawało się, iż słyszał już kiedyś głos Flintera, aby się lepiéj przekonać, zbliżył się do niego nieznacznie. Gdy postrzegł rysy jego twarzy, zadrżał na całém ciele. Ciemne oko jego miotało iskry gniewu, a ręka szukała broni, aby wykonać myśl, która w téj chwili powstała w duszy nieznajomego.

Ale jeszcze prędzéj oddalił się Flinter z Jérzym. Mając ich zawsze na oku Sir Arthur, postępował z-cicha za nimi. Tylko jedne drzwi jeszcze przedziélały go od nich. Przez chwilę namyślał się rycérz; potém otworzył zwolna drzwi, i wszedł do pokoju; z-dała przez kilka otwartych podwoi dolatywał go głos lady Sidnéj.

3.

Właśnie kończono wieczerzę. Lady Sidnéj, kobiéta w wieku podeszłym, poważna, na twarzy ślady dawnéj piękności, i Mis Editha dziéwica w kwiecie wieku, siedziały jeszcze u stołu. Flinter i kapitan okrętu, dopijali resztę wina z kielichów. Damy powstały, aby pożegnać gości. Kapitan upojony widokiem pięknéj sąsiadki, jeszcze raz nałał sobie malwazyi i zwróciwszy się uprzejmie do starszéj damy, przemówił: »Pozwól Milady wypić jeszcze jeden toast za pomyślność narzeczonych.« Milady przyzwoliła skinieniem głowy, a kapitan zawołał »niech żyje Mis Editha ozdoba dziewic Albionu! Niech Bóg szczęści i błogosławi jéj połączeniu się z Sir Flinterem moim szanownym przyjacielem!«

Ostry głos przerwał wesoły okrzyk kapitana: »Stój! nie pij zdrowia nikczemnika, który należy do rodziny morderców Karola Stuarta.«

Przelęknieni zwrócili oczy w tę stronę, z kąd głos dochodził. Flinter zbladł i tak gwałtownie postawił puhar na stole, że aż wino się rozlało. Z rozczochranym włosem z iskrzącémi oczyma, przebiega nieznajomy rycérz kilka pokojów, a przyskoczywszy wprost do narzeczonego Edithy, zawołał grzmiącym głosem:

»Nędzny! Ty śmiész się ubiégać o rękę dziéwicy, któréj rodzinę twój występny ojciec przywiódł do rozpaczy i w nędzy pogrążył!«

Te słowa wróciły przytomność kobiétom.

»Matko!« zawołała Editha rzucając się z płaczem w objęcia lady, »czy znasz ty ten głos? Arthur Jerningham żyje! niebo wysłuchało moje prośby!«

Właśnie Flinter chciał całą rzecz damom wyjaśnić, gdy usłyszano na ulicy chrzęst broni i tętęt kopyt końskich. Stary Jérzy wbiegł co tchu do pokoju, przynosząc wiadomość, iż oddział dragonów otoczył cały dom zajézdny; za nim wszedł wkrotce oficer od konnicy, i pokazując otwarty rozkaz, przemówił do Flintera:

»W imieniu milorda protektora, ty Sir Ryszardzie i twoi towarzysze podróży są więźniami moimi.«

Przytomnie i uprzejmie zwrócił się Ryszard do lady Sidnéj: »Nie obawiaj się Milady; od niebezpiecznego, jak ci się zdawać może, ze mną powinowactwa, uwolnił cię głos tego pana, ale pozwól mi u milorda protektora, mojego ojca, być wiernym obrońcą twojéj sprawy. Przebacz droga Mis, żem śmiał tu na ziemi zapragnąć posiadania anioła. Przyjm zapewnienie, że chęci moje były szczére, i choć oddalonego, uważaj mnie godnym twego szacunku. Ty zaś Sir Arthur Jermingham, dowiédz się, że ci Ryszard Kromvel odstępuje dobrowolnie piérwszeństwa u Edity. Tą ofiarą radby okupić urazę, nad którą boleje, a któréj przyczyna nie z jego poszła woli.«

Prosił potém oficera, aby powrót do Londynu na dzień następny odłożył, i z pełnym uszanowania ukłonem opuścił oniemiałych z podziwienia.

O świcie nazajutrz powóz lady Sidnej, otoczony zbrojnymi ludźmi Kromvela, pospieszał do Londynu. Ryszard Kromvel i wywołany z kraju Artur Jerningham, jako więźnie w towarzystwie oficera i żołniérzy, jechali za nim konno.

Kapitan okrętu *»Grzechotka«*, otrzymał pozwolenie wrócenia na pokład, z którego niezwłocznie korzystając, żagle rozwinął.

(Dokończenie nastąpi.)

Narzeczonéj w dzień ślubu.

Pójdź dziécię moje za mną w świat, za oczy
Ojca i matki—ja ciebie powiodę
Przez skwary lata, jesieni pogodę,
Przez ranek życia, dzień i smętność nocy,
Ja Tobie serce, myśl moję przyswoję;
Za mną! pójdź śmiało, pójdź! pójdź dziécię moje!

Pójdź dziécię moje za Twém przeznaczeniem,
Za sercem, myślą, pójdź za wolą swoją!
Za sobą, za mną, za miłością moją,
Bądź, bądź szczęśliwa mém uszczęśliwieniem!
Nagrodź mnie moje marzenia o niebie,
Snom pobłogosław, że wyśniły Ciebie!

Pójdź dziécię moje, pójdź do stóp ołtarza,
Wyznaj przed Bogiem, że należysz do mnie,
Że przez Twe życie, ze mną, przy mnie, o mnie
Pamiętać będziesz do progu cmętarza.
Że choć mnie zamkną pod grobowym głazem,
Ty sercem, myślą, będziesz ze mną razem.

Pójdź dziécię, nie drzyj śród myśli nawału,
Ja Ciebie chętnie z tą prawdą oswoję:
Że można *jedno*, mieć, czuć, chcieć, *we dwoje*,
Ja, Cię podziałem wyuczę podziału— —
Ja! Ja! Twym ojcem, matką, ja kochaniem,
Tylko mnie nagrodź dziecka przywiązaniem.

Z ogrodu świata przejdź przeczysty kwiecie
W mój ogród życia rozwić pączki błogie
I być ozdobą piérwszą w tym bukiecie;
Olśnij liść jego w Twoje barwy drogie,
Niechaj on w Tobie zna szczęście dla siebie,
A ja w nim jeszcze raz uwielbię Ciebie!

Złoconych skrzydeł motylku skrzydlaty,
Za mną, przed Tobą i za Tobą kwiaty,
Ty jednak pomniéj, że w życia jesieni
I liść opadnie, Twa barwa się zmieni,
A Tobie będzie tak smętno jak w grobie
Gdy nie zostanie żaden kwiat przy Tobie!

Swobodnych skrzydeł nadobna ptaszyco
Za mną na gniazdo pod przebytkiem nieba,
Za mną do pracy! przy soli, do chleba
I do pożytku, rośniéj obietnicą,
I słowem pana i uczućmi memi
W nadzieje nieba i w bogactwa ziemi!

Pójdź piękna córo bogatéj ziemicy
Za mną, na życia ucztę obiecaną,
Spełniéj wraz ze mną tę czarę słodyczy:
Kupioną sercem, przez losy podaną
Pod jasném słońcem przy cnocie i wierze,
Twojego szczęścia nikt ci nie odbierze.

Pójdź za mą dolą i szczęsną i biédną,
Weź siły moje, daj mi słabość swoję,
Zapomniéj słów tych: »to twoje, to moje«
Uwierzmy w *nasze,* myśli złączmy w *jedno,*
Niechaj Twój smutek sępi moje czoło,
Niech Twém weselem będzie mnie wesoło!

Pójdź, pójdź kochanko w ramiona rozwarte,
W wędrówkę życia, a z uniesień szału
Tam znajdziesz myśli i serce otwarte,
Tam miłość w przyjaźń urośnie pomału,
A przyjaźń trwała wystarczy na życie;
Za mną pójdź śmiało, pójdź, pójdź moje dziécię!

Toż w imię wiary, kościoła świętego
Ukorz się Bogu, wybiérasz człowieka:
On Cię strzédz winien z-blizka i z daleka
Jako źrenicy czystéj oka swego!
A ty mu za to osłodź smutne życie,
Do stóp ołtarza pójdź, pójdź moje dziécię!!—

Antoni Zygmund.

SKOK ŚMIERTELNY.

Opowiadany przez angielskiego marynarza.

Między osadą okrętową panowała cisza, jaka rzadko na fregatach się zdarza. Byłato chwila wieczerzy. Pokład był prawie całkiem wyludniony. Tylko na samym przodzie okrętu stał na straży oficer z dalowidem w ręku na jednéém miejscu jak słup wryty; na tylnéj części pokładu, leżała grupa majtków w cieniu żagli, gdzie niegdzie zaś zajmowali się inni rozmaitą ręczną robotą. Pod głównym masztem spoczywał J a k e, Murzyn afrykański bawiący się widokiem dużéj małpy, która trzymając się łapami głównego masztu, zwiésiła w dół głowę, i tak poufale wyszczérzała ku niemu zęby, jak gdyby wzajemne między niémi zachodziło porozumienie. Co do mnie, byłem zatopiony w malowniczym widoku miasta Mahon, które w niejakiéj odległości leżało. Jednakże pusty śmiéch, który się głośno rozlégał, zciągnął moję uwagę. Zwróciwszy się i spojrzawszy na pokład, postrzegłem małego R o b a, syna komodora, który stojąc pod masztem, bił z uciechy w ręce. Rzuciwszy okiem na duży drąg żaglowy, poznałem przyczynę téj powszechnéj uciechy. Oto skoro R o b wszedł na pokład, zaraz mu J o k o skoczył na ramiona i zerwawszy z głowy czapkę, umknął z nią w górę na liny okrętowe, gdzie ją z widoczném upodobaniem w kawałki szarpać zaczął. Chociaż R o b nie umiał tak zwinnie jak małpa léźć po maszcie, wszelako głośny, natrząsający się śmiéch Murzyna, uraził do żywego dziécęcy punkt honoru. Jakby żywy szkarłat wystąpił rumieniec na twarz małego R o b a; z gniewem spojrzał na Murzyna i w téjże chwili był już na sznurowéj drabinie, zwanéj drabiną świętego Jakóba. Nadaremnie wołał na niego Murzyn, aby się nie podawał na niebezpieczeństwo, R o b nie słuchając jego upomnień, mknął coraz wyżéj, i nie minęło chwil kilka, już był u trzeciego kolana masztu. Małpa czekała tylko zbliżenia się śmiałego przeciwnika. Gdy ten dostał się aż do najwyższych lin okrętowych, małpa założyła sobie czapkę na głowę, i z drąga żaglowego, na którym była zajęła stanowisko, skoczyła po linie na górny żagiel statkowy, a z tamtąd aż na najwyższe drągi krzyżowe, gdzie spokojnie usiadłszy, znowu czapkę szarpać zaczęła. Złośliwe źwiérzę to wabiło coraz wyżéj utrudzonego chłopca, który nic nie

wskórawszy, nie miał bynajmniéj ochoty spuścić się na pokład i być przedmiotem powszechnego pośmiéwiska; usiadł więc na krzyżowym belku górnego, spiczastego masztu, i zaczął odpoczywać; majtkowie przestawszy przypatrywać się temu zabawnemu widowisku, wrócili do zwyczajnych zatrudnień swoich. I mnie zajęło wkrótce zluzowanie straży przy stérze stojącéj. Lecz oto nagle dał się słyszeć głośny wykrzyk Murzyna: »Przez Boga! *Massa* Rob jest na najwyższéj gałce bandery!« Zimny dreszcz przejął mnie całego, gdym to słowo usłyszał; spojrzałem w górę i przekonałem się, że tak było w istocie! Zapamiętały chłopiec, po krótkim odpoczynku nabrawszy nowéj siły, nie mógł się oprzéć pokusie, wdarł się aż na najwyższy szczyt masztu i stanął jak wytoczona figura na gałce bandery, na małym, okrągłym kawałku drewna, w takiéj wysokości, że mi aż w oczach się zaćmiło! Wedrzéć się do góry było łatwiéj, ale jakim sposobem spuścić się na dół! Około niego i nad nim nie było nic jak tylko czcze powietrze a pod nim małe, szczupłutkie miejsce — okrągły, kruchy kawał drewna, który z pokładu nie większym, jak guzik u końca rapiru być się zdawał! Okropna śmiałość! Wszelkie usiłowanie opuszczenia tego niebezpiecznego stanowiska, groziło nieuchronną zgubą, gdyż złażąc, musiałby koniecznie stracić równowagę i spaść na pokład. — Cóż w takim przypadku począć? Jak sobie zaradzić? Wołać nań i uwiadomić go o niebezpieczeństwie, byłoby największym nierozsądkiem. Co chwila czekałem ze drzeniem na okropną katastrofę. Zaćmiło się mi w oczach i zdawało się, że ja sam jestem w tém strasznem niebezpieczeństwie i że sam z téj niezmiernéj mam zlecić wysokości. Chwiejącym krokiem mimo wiedzy postąpiłem krok naprzód, i spojrzałem w około siebie. Pokład był majtkami przepełniony. Wiadomość o zapamiętałéj śmiałości kadeta, rozeszła się w okamgnieniu po całym okręcie, a wszystka czeladź razem z oficerami pospieszyła na pokład, dla przypatrzenia się temu strasznemu widowisku. W uroczystém milczeniu patrzyli wszyscy strętwiałym wzrokiem w górę. — Żaden nie wyrzekł ani słowa, gdyż w okropny sposób obudziła się litość we wszystkich sercach, zwłaszcza, że Rob był od wszystkich kochany. Piérwszy z oficerów, wziął martwą prawie ręką tubę, dla rozkazania biednemu Robowi, aby się na dół spuścił; ale zaledwie że ją do ust przytknął, już ją znów spuścił, wiedząc dobrze, że się rozkaz jego na nic nie przyda. Tejże saméj chwili powstał jakiś ruch pomiędzy czeladzią okrętową, i niebawem pojawił się pomiędzy nią człowiek, którego przedtém nie postrzeżono. Byłto komodor, ojciec biédnego Roba; mąż wzrostu Herkulesa, twarzy surowéj, a między kadetami okrętowémi chodziła pogłoska, że do syna swego nie bardzo był przywiązany. Jakoż w saméj rzeczy obchodził się z nim z takąż samą surowością jak z innymi młodymi oficerami — a jeźli kiedy okazał któremu z nich jakowe względy, to pewnie nie swojemu synowi. Inni, znający dokładniéj charakter komodora, zapewniali, że on za nadto kocha syna, aby go miał rozpieścić, i że go w téj saméj szkole trudu i zahartowania, w któréj sam wysoką posadę osiągnął, na wybornego żeglarza ukształcić zamyślił. Za przybyciem komodora, zwróciły się wszystkich oczy na niego; każdy z drzeniem czekał, jakie wrażenie sprawi na twarzy osiwiałego morskiego bohatéra, tak wielkie niebezpieczeństwo syna. Jednakże komodor nie dał bynajmniéj poznać, co się w jego duszy dzieje. W oku jego widać było zawsze jednaką surowość, na czole też same co i przedtém zmarszczki, a na zaciśniętych ustach, też samę niewzruszoność i odwagę. Skoro na pokładzie stanął, pochwycił z ręku okrętowego żołniérza karabin i wziąwszy spokojnie na cél syna, zawołał grzmiącym głosem: »Robercie! rzuć się natychmiast w morze, lub strzelę do ciebie!« — Chłopiec zachwiał się, widać było, że go te słowa przeraziły. Komodor zawołał jeszcze groźniéj: »Rzuć się w morze! Tylko tém się możesz ocalić!« Ledwie te słowa wyrzekł, już chłopiec zebrawszy w sobie wszystkie siły, wytężył się, i złożywszy obie dłonie nad swoją głową, rzucił się piorunem naprzód z niezmiernéj wysokości w głąb morza! Żałośny jęk dał się słyszéć między całą okrętową osadą. Chwila ogólnego przestrachu! Ojciec stał martwy jak słup i nie rzekł ani pół słowa. Piorunem spadł chłopiec i poszedł w dno morza, a nim go jeszcze morskie przykryły fale, już więcéj dwudziestu silnych majtków, a między tymi kilku oficerów, rzuciło się za nim z pokładu. Nastąpiła druga chwila, pełna okropnéj trwogi! — Nakoniec wypłynął chłopiec, i ruchem ramion dał znak życia; wsparty pomocą żeglarzy, puścił się ku okrętowi. Na ten widok pięciuset marynarzy uniesionych radością, pomimo ścisłą karność na okręcie wojennym, wydało trzykrotny, serdeczno-wesoły okrzyk: »Hurra, niech żyje!« Stary komodor aż do téj chwili stał niewzruszony; lecz teraz, gdy wszystkich oczy znowu na niego się zwróciły, bladość pokryła twarz jego. Chciał się oddalić, lecz mu zachwiały się kolana, nie mógł odetchnąć, i byłby padł omdlały, gdyby go stary Murzyn nie był podchwycił. Zaniesiono go do kajuty,

gdzie za pomocą okrętowego lekarza wkrótce zmysły odzyskał. Gdy się już całkiem uspokoił, kazał przyzwać do siebie swego syna Roberta i miał z nim długą rozmowę, który wyszedłszy i stanąwszy znowu pomiędzy swémi towarzyszami, rozpłakał się rzewnie i był ucałowany od wszystkich po kolei.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 16. i obejmuje: 1) Postrzeżenia przy sadzeniu kartofli. 2) Korzyści z młockarni. 3) O niektórych szczegółach sparalizowania jagniąt. 4) Czyszczenie i filtrowanie oleju. 5) O różnych sposobach wytapiania rudy. (Ciąg dalszy).

Ner 8. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Pan Antoni, powiastka z roku 1839. 2) Coś i jakoś, przez L-D-B. 3) List do Redaktora »Dziennika mód« we Lwowie.

Wyszło właśnie zapowiedziane jeszcze roku zeszłego dzieło: Ign. Jana Hanuscha, Dra filozofii i profesora przy lwowskim uniwersytecie: *Die Wissenschaft des slavischen Mythus im weitesten den alt preusisch-lithauischen Mythus mit umfassenden Sinne. Lemberg* 1842 *Verlag von Johann Millikowski* w 8ce str. 432, o którém powiedzieć możemy, iż pod względem swéj treściwéj wartości, przewyższa wszystkie o tym przedmiocie w językach obcych i sławiańskich dotąd pisane dzieła. Autor sam Sławianin, obeznany gruntownie z narzeczami pojedyńczémi i ich pismiennictwem, z troskliwą pilnością użył do swéj pracy źródeł mniéj może dostępnych cudzoziemcom i odchylił ciemną zasłonę, kryjącą dotąd poważne i urocze bogo-słowie dawnych Sławian. Nie poprzestając na samém tylko kronikarskiém wyliczaniu bóstw staro-sławiańskich, starał się z ułamków ułożyć cały teozoficzny system wiary naszych pogańskich przodków, co mu się téż nader szczęśliwie udało, a postępując zarazem historycznie, rzucił nie małe światło na jedną i zawiłą część dziejów rozwinięcia się umysłu ludzkiego. Wykazał najprzód zarody indyjskie, daléj staro-perskie w bogo-słowiu dawnych Sławian, Prusaków i Litwinów, oraz wyszczególnił zmiany, jakich piérwotne pojęcia już tu w Europie za wpływem różnych okoliczności doznały, i jakie na utworzenie właściwéj oddzielnéj mitologii działały. Życzymy tylko ważnemu dziełu temu, piérwotnie w języku niemieckim pisanemu, aby przez przekład na którekolwiek z narzeczy sławiańskich stało się dostępniejsze dla ogółu owego ogromnego plemienia. *Ż. P.*

Lubo zakres naszego pisma nie dozwala nam mówić o obcéj literaturze, jednak nie możemy przenieść na sobie, aby nie zwrócić uwagi naszéj publiczności na dzieło p. Rappaporta, doktora medycyny, pod tytułem: *Mose ein episches Gedicht*, już dla tego, że utwor ten między celniejsze utwory w swym rodzaju poczytać można, już dla tego, że pisarz jest Galicyjanin, we Lwowie między nami żyjący. Jeżeli jest zadaniem epicznego poety, z głębi zamierzchłych wieków, w wyrazistych dotykalnych kształtach wywieść na jaśnią fakt historyczny, który losy całego narodu rozstrzygnął; jeżeli cudowność jest ową złotą nicią, która całe pasmo epicznego przedmiotu przebiegać winna; to żaden może przedmiot nie wyzywał bardziéj epicznego pióra, jak uwolnienie Izraelitów z egipskiéj niewoli, którego głównym działaczem był Mojżesz, ów bohatér, prawodawca, posłannik Jehowy. Pan Rappaport rozwiązał to zadanie z pomyślnym skutkiem. Umiał myślą przenieść się w odległe czasy, zrzekł się swojéj indywidualności, która w epopei w głąb sceny usunąć się winna, wcielił się, że tak powiém, w swój przedmiot, który gorącém umiłował sercem. Mojżesz, ów mąż podniosłego ducha, ów złoto-usty cudotworca, który swojémi cudy ugiął butnego Faraona, i przekonał go o swojém posłannictwie, który znikczemniałe plemię Izraelitów z nicestwa dźwignął, i wyuzdanie ich ujął w karby ustaw Jehowy, oddany z całą prawdą, z kolorytem pryjentalnego ducha; łuna świętości otacza jego osiwiałe skronie. Język czysty, świeży, nagina się do każdéj myśli i świadczy o sile i znajomości, z jaką nim włada znakomity pisarz. Opisy nędzy i upodlenia izraelskiego ludu są nieporównanéj rzewności.

Niemiecka literatura w Paryżu. Przy wszystkich prawie dziennikach paryzkich, Niemcy są spółpracownikami; nawet *Feuilleton* zasilają oni swem piórem, jednakże więcéj piszą do dzienników politycznych.

Pomiędzy najnowszémi trofejami, które z Chin do Angli przywieziono, jest także jedno dzieło literackie, mianowicie wyciąg złożony z 450 tomów Encyklopedyi, która 6000 tomów w sobie zawiera. Czémże są nasze konwersacyjne i uniwersalne słowniki w porównaniu z tą ogromną, przez literatów niebieskiego państwa używaną książką, która taki ma tytuł: *Podręczna książka do prędkiego poszukania rozmaitych przedmiotów.*

Léczenie głucho-niemych. Baron Dupotet w Paryżu, wyléczył już dziewiętnastu głucho-niemych magnetyzmem. Akademija medycyny rozpoznawała sposób jego kuracyi i uznała, że jest doskonały. Skutki tego léczenia prawie cudem się być wydają; gdyż po trzeciéj operacyi słyszało dziécię nietylko każde słowo, ale nawet wymawiało każdą głoskę, którą mu przepowiedziano.

Środek przeciw spaleniu sukni. Téj zimy donosiły znowu pisma publiczne, że wiele dzieci i niewiast, których suknie od ognia się zajęły, okropną śmiercią pomarło. Dla zapobieżenia podobnym przypadkom, pewien Anglik podaje bardzo prosty środek: »Wyprawszy suknie, pościel, bieliznę i t. d., należy je przepłukać w wodzie, w któréj trochę saletry rozpuszczono. Przezto zyska bielizna na białości, oraz zapobiegnie się temu, że nie spłonie za zetknięciem się z ogniem. Tléć tylko będzie, a przeto bardzo łatwo ogień przytłumić można.«

Fabrykacyja zegarów w Genewie. Na jak wielką stopę w małém genewskiém państwie odbywa się zegarmistrzowstwo, poznać można z tąd, że z Chaux de Fond wysełają rokrocznie za granicę w przecięciu 18,000 złotych, a około 50,000 srebrnych, z Locle 20,000 złotych a 32,000 srebrnych zegarów. Wszelako nié ma tam wielkich fabryk, zegarmistrze pracują w własnych pomieszkaniach i na własną rękę.

Olbrzymi statek parowy. W Londondery przygotowany jest do spuszczenia z warsztatu potwór okrętowy (*Monster Ship*). Okręt ten prócz ciężaru dwóch machin parowych i potrzebnego do nich zasobu o 700 beczkach (około 14,000 cetnarów) wagi, a więc prześcigiue statki parowe: *Praesident*, *Britisch Queen* i *Columbus*, które w swoim czasie za niezrównane kolosy uważano. Cały pokład urządzony jest do przyjmowania podróżnych; a chociaż w nim wywiercono 44 otworów na działa, jednakże cała przestrzeń tego okrętu ma być bardzo pięknie przyozdobiona. Dziennik *Standard* dodaje, iż znawcy rzeczy uważają ten okręt tak

co do budowy jako téż co do urządzenia za najpiękniejszy w całej marynarce angielskiéj.

Za rzeczy-pospolitéj francuzkiéj, postanowiono odmienić także karty do grania. Mówiono, że republikanin nawet w grze nie powinien używać wyrazów, któreby nierówność przypominały. Z tego powodu pewien fabrykant karty do grania nazwał kartami rewolucyjnemi. Królów zastąpiły jenijusze; był więc *coeur*, czyli jenijusz wojny, *trefle*, czyli jenijusz pokoju, *pique*, czyli jenijusz kunsztu, *carreau*, czyli jenijusz handlu. Miejsce dam zajęła wolność; i tak była *coeur*, czyli wolność religii i t. d. Zamiast pamfilów obrano równość, a zamiast tuza ustawę, n. p. ustawę *coeur* i t. d. Odmiana ta sprawiła, że się musiano uczyć grać na nowo; wyobrazić sobie można, jak śmiesznie brzmiało, gdy mówiono: »Wygrałem ustawę *pique*, zabiłem jenijusza pokoju.«

Testament. Przed sąd assysów wytoczono témi czasy dosyć ważny ale niemniéj komiczny wypadek kryminalny. Niedaleko Nowego Breysachu mieszkał pewien majętny, bezdzietny Izraelita, kupiectwem się zajmujący. Podeszły człowiek ten zachorował, a jeden z krewnych jego nazwiskiem Lewko, mieszkający z nim w jednym domu, nalegał nań, aby na korzyść jego testament zrobił. Lecz nie przyszło do tego, ponieważ już sama myśl zrobienia testamentu za nadto przypominała Szmulowi podróż na łono Abrahama, a do téj podróży p. Szmul niewielką miał ochotę. Nareszcie po długich narzekaniach, dał się namówić, a Lewko za przyzwoleniem jego pobieżał co tchu zamówić notaryjusza; lecz gdy w kilka godzin wrócił, zastał Szmula konającego. Lewko tym wypadkiem przestraszony bieży do sąsiada, ślusarza i wzywa go na świadka; ten przychodzi, ale widzi, że Szmul już świadków nie potrzebny. Lewko z rozpaczy, śpiewa żałość na wszystkie tony; że utracił znaczną puściznę, zachodzi w głowę i przemyśla jakimby sposobem Szmulowi jeszcze choć na pół godziny przywrócić życie, lecz mu na koncepcie zbywa. »Sąsiedzie«, odezwie się ślusarz, »żal mi cię z duszy;—jednakże jeżeli mi dasz dobre porękawiczne, dam ci dobrą radę.«—Lewko odżył i przystaje na wszystko. Biorą obadwa jeszcze ciepłego Szmula z łóżka i zanoszą go do izby na piérwsze piętro, a ślusarz kładzie się w łóżko na miejsce Szmula. Wkrótce potém wchodzi do pokoju notaryjusz z świadkami. »Panie Szmul, czy chcesz robić testament?« zapyta notaryjusz. Ślusarz nakryty po szyję pierzyną, skinął głową w znak potwierdzenia. »Panie Lewko, jeżeli należysz do tego testamentu, więc oddal się z pokoju.« — Lewko spojrzawszy trwożliwie na żałośnie stękającego ślusarza, wychodzi z pokoju. — Notaryjusz pyta znowu: »Panie Szmul, powiedz, jaka jest twoja ostatnia wola?« — Ślusarz stękając przerywanym głosem, bąka jedno słowo po drugim: »Lewko jest drab wielki, oszukał mnie, lecz sąsiad mój ślusarz, o, to jest zacny człowiek, on mi wiele dobrego wyświadczył, temu zapisuję wszystko co mam.« — Notaryjusz pisze ostateczne to rozporządzenie do protokułu i czyta umiérającemu, który coraz bardziéj słabniejąc potakuje głową swoję ostateczną wolę. Notaryjusz wychodzi z pokoju konającego Żyda. Ale któż zdoła opisać przestrach i minę Lewka, gdy testament rozpieczętowano! Przyszedłszy do siebie, wyjawił cały wypadek, a sąd stara się teraz spólnika jego przywieść do zeznania.

Życie i miłość. Jeden z celniejszych poetów niemieckich porównywa miłość w sposób następujący: »Sława jaśnieje własném światłem jak słońce; honor błyszczy promieniem pożyczanym; próżność towarzyszy ludziom jak księżyc ziemi, miłość zaś nie da się z niczém porównać, jak tylko z samą miłością. — Kobietom mniéj sprzyjający Lessyng, nazywa świat zégarem, pieniądze jego wagą, a kobiétę niespokojném wahadłem. — Jeden z jenijalnych tegoczesnych autorów mówi: »Jeźli wszystko w życiu jest snem, więc miłość jest niezawodnie najpiękniejszym snem w życiu. Młodość jest kosztowną perłą i nic nie wyrówna jéj cenie zwłaszcza, jeźli w szlachetny czysty metal miłości jest oprawiona. Kto w swém życiu nie kochał, był ciemny, miał oczy, ale niémi nie widział. O jakże błogim, jak szczęśliwym jest rozwijający się pączek miłości! Serce jest tym pączkiem, który listki swoje za słońcem toczy i wieczną wiosnę widzi.« — Miłość jest zdrojem życia; ten nie żył, kto nie kochał.«

Szczególniejszy sposób pobiérania podatku. Król w Kongo umié osobliwszym sposobem pobiérać podatek. Z-rana, gdy się mocny wiatr zerwie, wychodzi z domu, zasunąwszy lekko na ucho czapkę. Jeżeli ją wiatr zrzuci z głowy, tedy za karę wkłada podatek na tych z swoich poddanych, którzy po téj stronie mieszkają, z któréj wiatr wieje.

Jednego razu zeszedł się Wolter u margrabiny de Mimare z swoim przeciwnikiem Pironem. Wolter usiadł wygodnie w poręczowém krześle niedaleko kominka, a Piron tuż blizko niego. Piérwszy dobywa z kieszónki zégarek, a drugi tabakierkę. Jeden spluwa a drugi kicha. Przez chwilę nie mówią do siebie ani słowa. Nakoniec Wolter wyciąga z kieszeni suchą krumkę chleba i zaczyna ją z takim smakiem zajadać, że aż mu krumka w zębach trzeszczy. Piron sięga podobnież do kieszeni i dobywszy butelkę, zaczyna porządnie łykać z niéj wino. Wolter tém rozgniewany rzecze: »Jestem właśnie po chorobie i teraz co chwila jeść muszę.« — »A ja przybyłem właśnie z Burgundyi«, ozwie się Piron, »i teraz mam ustawiczne pragnienie.«

Napoleon jechał raz w powozie z lady N**, i miał ten przypadek, że się omal z mostu w głęboki rów nie wywrócił. Uszedłszy szczęśliwie téj przygody, rzekł żartem do przelęknionéj damy: »Otóż widzisz pani, omal żeś razem ze mną nie umarła.« — »O *Sire*«, odrzekła dama, »powiédz raczéj, żem omal nieśmiertelną nie została.«

Zemsta artysty. Huerta, Hiszpan, który graniem swém na gitarze zjednał sobie rozgłośną sławę, przyjechał w r. 1829 do Paryża. Pan *** były podówczas minister, zaprosił liczne towarzystwo do siebie na wieczerzę, i oznajmił na biletach, że Huerta u niego grać będzie. Minister ten zaprosił także i artystę, który przybyć nie omieszkał, ale wiedząc, że go tylko dla popisu zaproszono, oświadczył, że nie jest w humorze i nieusposobiony do grania. Wszelkie prosby były nadaremne, a zawiedziony w swéj nadziei gospodarz, niemogąc przełamać uporu artysty, kazał nareszcie dać wieczerzę. Lecz cóż się dzieje. W chwili gdy zastawiono potrawy, a goście siedli do stołu, powstaje Huerta, bierze gitarę, gra jednę, drugą, trzecią sztukę, a zapał jego wzmaga się coraz bardziéj, chociaż goście zaczynają być niespokojni, gdyż przed oczyma ich potrawy na stole stygną. Huerta jednak grać nie przestaje, już dwie godzin trzyma gości w ciągłém natężeniu i wzbudza powszechne zadziwienie, aż nareszcie gospodarz korzystając z przestanku, daje znak do powszechnych oklasków. Huerta do łez wzruszony, przestaje grać, goście zabiérają się do wieczerzy, ale nie w smak im potrawy, bo już ostygły!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.